

Gdzie się zgubiłam

jeszcze wczoraj biegłam boso po bruździe
miałam mleczaka i strup na kolanie
na ręce krzyżyk z pierwszej komunii
w kieszeni
wiatr, chmury i suszone maliny

babcia splatała wianek z macierzanki
mówiła: „pamiętaj, dziecko, jak pachnie ziemia po deszczu”
na Boże Ciało sypałam płatki w ogrodzie
i wierzyłam, że każda droga prowadzi do siebie

a dziś?
na progu chaty zostały tylko włosy
wplątane w chabry, w kurz z łąki
paznokcie krótkie, rozdarte jak łuski ziarna
usta
zawiazane jak worek po ziarnie

szukam ciebie w lustrze nad kredensem
ale w szybie tylko para i muchy
ktoś tam był
wiem to po zapachu
ale ślad zniknął jak rosa pod żdźbłem

przykładam dłoń do zbutwiałej framugi
drzę jak gniazdo bez piskląt
rozgarniam wspomnienia jak ścierni
może pod spodem... może tam się chowam

jeszcze wczoraj byłam dziewczynką z warkoczem
co śpiewała „Aniołek, lisek, biała kołderka”
a dziś?
stoję w progu, nie wiem po której stronie domu jestem

szukam śladów
rozdrapuję paznokciem szybę
gdzie ona jest
ta, co miała dwa zęby stałe i śmiała się całym światłem?
ja?

Przypowieść

Pochłaniam słowa jak rosę z porannej trawy,
Którą babka zrywała na zioła
„na sen, na spokój, na zmartwienie”.
Spoglądam w górę, gdzie wschód słońca przędzie
Nitki światła na białym płótnie mgły,
Jak prząśniczka w dzień święty.

Chmury, jak dym z ogniska po zaduszkach
Rozsuwają się powoli.
Oświeci nas
i głowy,
Ale i serca, co były równo z dzwonem na Anioł Pański.

Piasek pod stopami,
Nie ten znad morza, lecz z miedzy, gdzie dzieci bawią się w weselne orszaki,
Mieni się w świetle latarni przy kapliczce.
Wezmę go w dłonie,
Rozsypię na polnej drodze,
Jak gospodyni ziarno w święto Matki Boskiej Zielnej.

Może go dostrzeżesz
W noc, gdy nie ma gwiazd,
Gdy wichura śpiewa przez strzechy,
A syreny milkną, ustępując miejsca
Pieśniom dziadów wędrownych.

Płyniemy przed siebie
Nie łodzią, lecz furą przez pola,
Usta twe spierzchnięte
Od słów nigdy nie wypowiedzianych w modlitwie.

Będziemy tak płynąć,
Będziemy tak marzyć,
Uciekać od ostrego powietrza,
Jak żniwiarze od sierpnia, gdy burza wisi nad borami.

Będziemy tak płynąć
Będziemy tak marzyć
Uciekać od ostrego powietrza.

Powieka z liścia wierzby

Zamknij powiekę, jak się zamyka wieko skrzyni,
gdy święte obrazki i chleb kładzie się na drogę zmarłemu.
Niech cię ogarnie ciemność, cień lipy,
co przy każdej chałupie rośnie jak wartownik snów.

Powieka to płatek maku,
którym matka przykrywała twoje oczy,
byś nie patrzył na deszcz, co zabierał plon,
na psa wyjącego do księżycy.

Zamknij ją
niech się świat toczy poza tobą,
niech gospodarz klnie na grad,
niech kury rozdziobują ziarenka codzienności.
A ty leż pod pierzyną z puchu i wspomnień,
śnij o jagodach w glinianej misce,
o sianie pachnącym jak lato przed odpustem.

Labirynt
z miedzy, z kłosów, z mrowiska przy sośnie.
I ty
jak strach na wróble chwiejny,
choć w środku człowiek, choć nikt nie wie, kiedy się przewrócisz.

Ludowe zaklęcia nie uratują dnia,
ale noc
noc jest twoja,
kiedy babka szeptała nad głową:
„Od złego odgradzę, słowem, ciszą, liściem z wierzby”.

Śpij, śpij, śpij...
Zanim jawa uszczypnie cię zbyt mocno.

Korzeń modlitwy

Z wilgoci świtu i gliny spod chaty
rodzi się pieśń, co nie zna atramentu.
Babcia w dziewannie, w lnianym fartuchu,
szepta pacierze z wiatrem i smentą.

Ojciec z modlitwą schowaną w dłoni
ora poranek jak żywą księgę.
W każdej bruździe – krzyż z błota i chleba,
w każdej grudzie – szept przodków i przysięg.

Dziadek w warsztacie rzeźbił świętości
z drzewa leszczyny, w milczeniu bosym.
Mówił: „*Słuchaj, jak ziemia się modli –
gdy mleko w garnku śpiewa o losie.*”

A ja – najmłodszy, z duszą jak rosa –
piszę ten świat słowami z obory.
Niech każdy wers pachnie skibą ziemi,
niech błogosławi go Boży kłós.

Obrzęd dnia powszedniego

Matka o świecie śpiewa garczkwowi,
w rondlu się budzi chleb i opowieść.
Na piecu mrowią się zioła i cisze,
a w świętych ramach – czosnek i powiew.

Dzieci w kaloszach biegną przez siano,
z pokrzywa w rękach i śmiechem w ustach.
Na świętego Jana – skok przez ogień,
wianki puszczane w nurt pełen lustra.

Wieczorem dziadek kadzi popiołem,
z kropidłem z mięty przechodzi próg.
Mówi: „*To rytuał. Niech dym pamięta.
Dom to kaplica z chleba i śladów.*”

I tak bez wielkich cudów, objawień,
rosło w nas życie jak w mace drożdże.
W zwykłym obiedzie – świętość ukryta,
a w łyżce zupy- poemat Boży.

Głos ziemi we mnie

Patrzę w oddali – przez okna tramwaju,
a ziemia śpiewa we mnie jak dawniej.
Grusze pamiętne, kurz z piwnic, stodoła –
wołają ciszą, co nie zna granic.

Nie ma już babki, dom spłonął w ciszy,
został mi tylko wiersz i pamięć.
Ale w tej pieśni – z mleka, z błota –
tli się ognisko i szept ocalenia.

Ziemia – ta sama, co mnie nosiła –
teraz przeze mnie przemawia w słowach.
Jestem jej głosem – młodym, lecz wiernym,
piszę jak sierpem: prawdą i mową.

Choć mam siedemnaście, a buty miejskie,
nie zgubiłem korzenia w betonie.
Niech jury czyta, niech słyszy szept:
tu mówi gleba, co śniła o mnie.

Serca rytm

Zwykła dziewczka igłą przewraca
Suknię w nowe kolory wzbogaca
Słysząc tańców rytm
Patrzy, a tam kolejny faworyt

Wnet zakłada swego dzieła pracę
Kogut pieje, noc skończona, już nie czas na walce
Wiejskie życie woła
Uśmiech słońca, toczą się koła

Świeżego bochenka zapach czuć
Całą rodzinę wnet z pracy zawrócić
Lekki podmuch wiatru ruszył maki
A na polu złocą się pszeniczne szlaki

W oddali dziadki czuwają za drzewem
Aby zobaczyć co chowa się za krzewem
Świat pulsuje rytmem natury
Słysząc kościelnych dzwonów atrybuty

Połączenie dwóch dusz

Serca złączone przez przysięgę
Wsluchują się w dzwonów ogromna potęgę
Taniec poloneza wprawia w salę w ruch
Przy tym spadający welon jak okruch

Toasty, pląsy i potrawy – tak się bawią ludy
Gwar w auli, słodko brzmią nuty
Kapela gra, końca nie widać, dobrze to wróży
Nagle na środku Sali słyszeć oznaki burzy

Wśród gości jest wielu tchórzy
Pod osłoną dymu pojawia się duch potężny
Składa młodym dar pieniężny
Wszystkich obecnych sen już nuży

Świętojańska noc

Gdy noc się schodzi
Gdy słońce zachodzi
Płomień ogniska bucha wraz
Cała wieś zbiera się w las

Koło utworzone, tańca słysząc rytm
Śpiewy i życzenia ukazują młodzieńców spryt
A ja zwykła panna pogoniona już
Wrzucam swój warkocz na pomstę róż

Blask bije, czuć zapach ziół
Czasu nie ma, dziel się wszystkim wespół
Miodu rześki smak, jakby było go nam brak
Ta chwila już minęła, lecę jak ptak...

Drogi krajowe

Świat z dróg krajowych – cóż to za widok!
Mój kraj pstrokaty jak wielkanocna palma
gdacze, szczeka i śpiewa i bzyczy
Chyli stary GS, błyszczy OSP

Próchnieje nam stary Nepomuk
Banery lśnią fotowoltaik
Koło Gospodyń śpiewa nowe pieśni
Na joba jedzie "Marek – video – filmowanie"

Jajka od wolnej kury, miód od wolnej pszczoły
Po ulicy chodzi kurka, paw i piesek
Warzą się rosoły na wolnych ogniach
A w śmieciach w lesie sołtys znalazł list z adresem (oj będzie bal)

Dojrzałą dynią zachodzi słońce
Mityczny rój gwiazd tu masz na własne oczy
z drona zdjęcia robią wiejscy neofici
mój kraj pstrokaty jak wielkanocny koszyk

I tak się żyje, żyje na tej wsi
gruntowe ścieżki, czerwone maki
Żółty dym, jutrzeńki róż, błękit nieba
Zieleń wschodzącego wiosną żyta

Korowajowa

Piecz się korowaju,
korowaju z nieba
rośnij wysokutki
pachnij korą z drzewa

Piecz się korowaju
okrągłutkie złoto
my ci pośpiewamy
ładnie i z ochotą

Każda gospodyni
ma na cię baczenie
bo jeśliś udany
- udane wesele

A bez ciebie – smutek.
Rośnij więc złociutki
piecz się państwu młodym
duży okrągłutki

Niech na naszych młodych
dużo bogactw spłynie
tyle dobrych życzeń
co w tobie rodzynek

A te ptaszki, gąski
z ciasta ulepione
niech przyniosą młodym
dziatwy po koronę

*

Piecz się korowaju
bo gdy się tak pieczesz
stoły zastawiają
sezon wesel przecież

Ciasta i sałatki
mięsa alkohole
- piecz się korowaju
zaraz twoja kolej

Już młodzi zaczęli

tłuc za się kielichy
- piecz się korowaju
rośnij nam nielichy

Wreszcie pierwszy taniec
puszcza DJ z Lipek
- piecz się korowaju
będzie z cię pożytek

A gdy zaczną czepić
po nowoczesnemu
- piecz się korowaju
nie przypatruj temu

I gdy zamiast ciebie
wejdzie tort i disco
- piecz się korowaju
rośnij mimo wszystko

Gdy po torcie goście
dopiją wódeczkę
- piecz się korowaju
poczekaj troszeczkę

Bo jak się objedzą
masą mascarpone
wniosą cię o świcie
przed Męża i Żonę

A oni zdziwieni
wraz podejda bliżej
"Co za dziwne ciasto"
- mruknie chmielny DJ.

Mąż jakiś wzruszony
chwytą Żony rękę
a jej łzy po twarzy
płyną na sukienkę

I dawna melodia
sama im się śpiewa
"Piecz się korowaju
korowaju z nieba"

Góry twarogu

Jeszcze przed świtem czekaj na mój znak
poprowadzę ciebie ścieżką pośród mgieł
udeptaną dróżką wśród pachnących kasz
parującej manny nam z nieba deszcz

Z pni drzew będzie się sącył miód
słodki owoc skryje się jak skarb wśród mchu
pod stopami będzie nam trząsał chrust i chleb
masło znajdzie w dziuplach a w lisich norach sól

Zamieszkamy w jednej z pobielonych chat
pod chlebowym piecem roznecimy żar
gdy drożdżowy placek sięgnie po sam szczyt
w miękkim cieście spać położymy się

A nad ranem świt, czysty jak wód zdroj
nam odsłoni klejnot – widok białych gór
to z twarogu nam je uformował mistrz
skruszył na nich srebro – świeżo zmielon pieprz

Tam będziemy sobie miły jakoś żyć
konfiturę kłaść między każdy wers
agrest warzyć nocą, pomidory w dzień
tam będziemy sobie miły jakoś żyć

Stara kobieta i pies

Krzew czarnego bzu rozrósł się przez lata – pochyla ciężko nad głębokim okiem studni. Kury rozgrzebują błoto.
Stara kobieta przysiada na ławce. Pies z posiwiałym pyszczkiem wskakuje obok. Kobieta składa dłonie na podołku, kciukami kręci młynek. Dłonie ma z ziemi, z kartofli, malw i mleka – z tych wszystkich zdrowasiek i ojczenasz.

Patrzy na drzewa, które tak szybko ją przerosły.
A ona się skuliła i mniejsza jest teraz do malw i krzewów czarnej porzeczki. Mniejsza od furtki, od pieca, od jabłonki którą sadziła z ojcem. Patrzy na niebo. Czarne klamerki ptaków wydają się prawie niewidoczne.

Nosi w kieszeni kawałek chleba – talizman, gdyby wróciły głodne lata i puste kłosy. Może nawet wojna.
Głaszcze psa i przemawia doń jak do dziecka.
Pamięta wszystko, choć nie jest pewna imion i kolejności zdarzeń. Czeka w spokoju.

Być samemu na świecie – to być jak ziarenko rzucone między ciernie. Młodzi uciekli ze wsi.
A ona – niczym samozwańczy strażnik, dogląda pomidorów i fasoli; drżącymi palcami poprawia pędy, cierpliwie zdejmując żarłoczne gąsienice.
Do nikogo nie ma pretensji.

Uśmiecha się do wspomnień; do fotografii mężczyzny z którym zbudowała ten dom i wychowała dzieci.
Przerzuca fajerki, nastawia czajnik. To znowu, tknięta nagłym niepokojem wygląda przez okno. Znow jej się zdawało, że zaskrzypiała furtka. Idzie burza.

Stawia tłustą gromnicę na parapecie. Znak krzyża kreśli na pamięć. Trzyma się jak ostatni liść na drzewie.
Ma lat dziewięćdziesiąt z górką. Ostrożnie przesuwając szklankę z herbatą. Zdjęcia dzieci i wnucząt wyblakły. Zupełnie jak ich pamięć o niej. Przestała wierzyć, że znajdą czas, by przyjechać choćby na niedzielę.

Wraca na ławeczkę. A pies wraca razem z nią.
Chata naprzeciwno jest od dawna pusta – zapadł się dach, ogród zdziczał w chwastach. Czasem jej się zdaje że w zakurzonych szybkach widzi twarz sąsiadki.

I tak sobie siedzi stara kobieta i pies.

Studnia wysycha jak oko po wylaniu wszystkich łez.
Tylko krzew czarnego bzu rozrasta się niczym nadzieja
gubiąc ciężkie, czarne owoce. Kiedyś robiła z nich sok.
Kiedyś – słowo, które oddała ją w białe morze ciszy.
W komunijne zdjęcie z rodzicami i siostrą.

Jeszcze chwilę – muszą poczekać.

Obraz

Cicho dziś we wsi. Nawet drzewa szumią ledwo, ledwo.
Nic nie podnosi kurzu na drodze. I nagle trzy razy dzwonek
u progu, a potem głosy wzruszone: „Maryjo, bądź z nami w domu”
Obraz w złoconej ramie; Maria z dziecieniem w ramionach,
szaty błękitne jak lipcowe niebo. Zamyślane spojrzenie;
wianki z bibuły i kwiaty, świeca otulona wstążeczką. Obrus
biały na stole jak święto – modlą się razem i w zgodzie,
wszak obraz przewędrował swoje. Modlą się za syna
w Anglii, za wnuczkę w Dublinie, o kłosy pełne,
dożynki w terminie, za nioski gderliwe i mleczność
Krasuli i za sąsiadów, choć nie wszystkich.

Cicho dziś we wsi, tak odświętnie – ktoś pieśń
zaczyna, ktoś poprawia kwiaty. W złoconych ramach
zmierzch się odbija – w rączce dziecienia uśmiech matki
jak grzechotka z makówki. Już idą dalej; kolejna furtka,
kolejne drzwi i w oknach światła.

Kiedy odejdą, wiatr znów zaszeleści w konarach topól,
w kwiatuśkach floksów, kura rozgdacze całe podwórko,
krowa powróci na noc z pastwiska. Dzieci pobiegną zobaczyć
do sąsiada jak klacz rodzi źrebaka. A nad wszystkim
pogodny całun nieba i zmierzch złocisty jak tamten obraz,
który ponieśli do wsi sąsiedniej - niech czuwa Matka

nad snem strudzonym, młodym źrebakiem,
ciastem, co w dzieży smakiem wyrasta i tym wszystkim,
co człowiek pragnie i prostą miłością ocalić.

Stara pasieka

Za stodołą, wśród głogów i dzikich róż
stały ule. O zmierzchu wracały do nich pszczoły
jak dzieci do domu.

Brzęczenie wibrowało w powietrzu,
jakby ziemia szeptała do nieba przez miliony
malutkich skrzydeł.

Czeka na nie starzec w lnianej koszuli. Otwierał ul
jak się otwiera serce – cierpliwie, spokojnie.
Wiedział, kiedy mówić a kiedy milczeć.

Miód spływa z plastrów
jak słodki sierpień.

Dzieci bały się pszczół. Mówiły, że pszczelarz
jest czarodziejem. Patrzyły z daleka jak dzieje się cud
i słodkie krople spadają do naczynia.

Dziś nie ma tam uli ani pszczół. Dzika łąka
zabliźniła fundamenty po chacie. Czasem, gdy letnia noc
nie daje spać – ktoś opowiada, że widział pszczelarza
w roju owadów a inni widzieli dzieci biegnące przez drogę
z pajdami chleba złocistymi od miodu.

Patrzę na pszczołę – chodzi po mojej dłoni, Nie krzyczę.
Czekam cierpliwie jak pszczelarz. Wciąż oswajam pamięć
pachnącą dymem wiśniowej fajki i dymem z ula.

Zagęszczenie (*pantum*)

Znów na werandzie usiadła cisza,
bielinek rzepnik szuka oddechów,
powietrze gęste myśli przenika,
wszystko tak obce, jakby na przekór

bielinek rzepnik szuka oddechów,
ciasto z aronii wyszło z tęsknoty,
wszystko tak obce, jakby na przekór
ścieżkę do wspomnień westchnieniem topi.

Ciasto z aronii wyszło z tęsknoty,
a na kredensie kurz płacze z bólem.
ścieżkę do wspomnień westchnieniem topi.
Gdzie jesteś mamó? Chleba nie czuję.

A na kredensie kurz płacze z bólem,
powietrze gęste myśli przenika.
Gdzie jesteś mamó? Chleba nie czuję.
Znów na werandzie usiadła cisza.

Zobojętnienie (*strofa Słowackiego*)

Na tym hamaku pod gruszą w ogrodzie
czas muskał myśli najczulej jak można,
chciałabym kiedyś w to miejsce znów dobiec,
gdzieś na rozdroża,
gdzie życie tliło malownicze pola.
Sens w ciszy kona.

A na tych snopkach sierpniowych zachwytów
pot spływa z czoła kombajnów, a ciągnik
sentymentalność na łbach kocich wykuł,
żart strat rozgonił.
Leżą ugory w opłakany stanie,
jakby niedbale.

Przy tej huśtawce w małej piaskownicy
widziałam życie z oknami na przyszłość,
lecz ciężko wizję chwil pięknych wyliczyć,
bo wszystko prysło.
W zimnym betonie aż krzyczą wspomnienia,
lat tamtych nie ma.

Zapomnienie (*strofa stanisławowska*)

Już zapomniałam jak pachnie jęczmień
czy dzika róża przy stawach,
wieś od natłoku niedole przędzie
i nieurodzaj wciąż zwabia.

Tuż przy buczynie echo przysiadło,
tuląc się w ciszę bez granic,
jabłoń straciła ostatnie jabłko,
by ziemię plonów ocalić.

Już zapomniałam jak pachnie żyto,
rozmaryn skonał przy drodze
i nawet chabry wzroku nie sycą,
może do nieba chcą odejść.

Wszystko przepadło, zapach drożdżowca
i kompot rabarbarowy,
czas siwe włosy wspomnień poplątał,
a gniewem zarosły schody.

Już zapomniałam jak pachnie mięta,
szczaw skrzywił skronie w nieładzie,
ale babuniu ciebie pamiętam
odległe, lecz nadal razem.

Nieustanny obrót

Ziemia po deszczu jak żreback parska,
Szczęśliwa, syta i napojona.
Budzi się życie w nasion naparstkach,
Urodzaju tajnia nieskończona.

Kolejno gęsiego odchodzą sny,
Świergotów słucha brzasku godzina,
Krajobraz przywdział mleczną albę mgły,
Misterium dnia znów się rozpoczyna.

Przemijać zaczną minuty żwawe,
Spadać gęsto jak z drzew czereśnie.
Ludzie, jak szpaki depczące trawę,
Zechcą je dziobać, wciąż jakby we śnie.

Niejeden szpak – człowiek odejdzie dziś,
Zostawi owoc niedojedzony,
Wypuści z rąk niedokończoną myśl,
Hen do Wiecznej Karczmy uniesiony.

Pory roku wciąż się będą kulać.
Słońce i Księżyc, i guziki gwiazd
Zechcą się z dala do nas przytulać,
Ozdabiać ziemski haft wiosek i miast.

Wszystko zaśnie

Kot mych lat dziecinnych
grzbiet wygina zwinny
i wśród trawy znika

Sarny mej młodości
spragnione miłości
tańczą w zagajnikach

Wilk mych lat dojrzałych
w gotowości cały
sunie pewnym krokiem

A za którymś drzewem
z przedziwnym zaśpiewem
mróz się splata z mrokiem

Przez labirynt lasu
rączy potok czasu
przepchnął łódkę moją

Maliny z ogrodu
barcie pełne miodu
nie karmią nie poją

Dąb mego istnienia
jak bryła kamienia
szarzeje i gaśnie

Zasną dla mnie ptaki
wrotyczne i maki
wszystko dla mnie zaśnie

Przyjdzie chwila

Przyjdzie chwila prawdy i dowiem się wtedy,
Jakim lśni pejzażem bilans mojej schedy –
Czy będę jak drzewo zwalone przez burzę,
Czy na Rajski Ogród swym życiem zasłużę.
O swych ziemskich ścieżkach rozmyślałem nieśmiało,
Że je dobrym krokiem przejść mi się udało.
Jak ten cichy kłosek spokojnie podążę
Za Wielkim Rolnikiem, który mnie dowiezie
Do snopka i wejdę w Niebieskie Zaświaty,
Gdzie nie mają wstępu ziemskie dylematy
I tylko maleńkie zaniosę marzenie,
By każdy miał o mnie serdeczne wspomnienie.

Zawiazanie świtu

kiedyś rano wiązano świt na węźle mlecznej mgły
dziad zaciągał skórzany pas nad orką,
baba szeptała pacierz do miedzy
żeby pszenica nie wyszła w plewę

był czas
każdy dzień miał swoją obrzędowość:
poczerńały dąb trzymał świętojańskie ognie
wiatr dzwonił w sierpnie, wieniec niósł się z pola
a krowy znały imiona ludzi i modlitw

dzieci dmuchały w dmuchawce jak w kadzidło
żeby odpędzić złe żale
a wieczorem smarowało się okno smółką
przed duchami, które chodziły w zaduszki

tamten świat stał twardo jak grusza przy studni
niósł się przez wieki pieśnią bez nut
i można było w snopie znaleźć
to, co zgubiło się w człowieku

teraz
chleb nie pleśnieje, ale się sypie
ptaki gubią kierunki, księżyc nie zna faz
a święto już nie święci, tylko trwa bez znaczenia

chciałam wrócić przez krzywe furty
na ścieżkę, co rosła w paciorkach
lecz nawet zioła nie pamiętają moich stóp
a maki nie opowiadają już snów

nie da się wskrzesić pola, jeśli zgasła pieśń
bo ziemia milczy, gdy nie zna głosu swoich

Tam, gdzie ziemia pamięta imię

są takie pola, co znają imię każdej matki
co śpiewała dzieciom przy płótnie, przy kołowrotku
tam rosa nie paruje
tylko słucha
jak w miedzy ktoś zostawił pacierz w łupiny chleba

w stodole cień ojca chowa kosy za belkami
a pająk przedzie historie, które nikt już nie mówi
dziad nosił w kapeluszu żar słońca,
babcia zbierała deszcz w złożone dłonie

przy studni dziewczęta wplatały warkocze w korale jarzębiny
i modliły się, żeby wrócił chłopak z roboty albo wojny
przy żniwach śpiewało się głośniejszym niż ptaki
bo pieśń podnosiła sierp wyżej niż dłoń

gdy święcono ziele
jałowiec, rumianek, dziurawiec
to nie dla ozdoby, ale żeby zima nie odeszła zbyt wcześnie
żeby krowa się ocielila, pszczoła wróciła do ula
a wilk nie wchodził między sny

dziś
wiatr przelatuje bez pytania o pozwolenie
drzwi nie skrzypią, tylko milczą
dzieci nie znają już nazw gwiazd,
a księżyc odbija się w ekranach, już nie w stawie

ale jeśli złożysz dłonie jak do modlitwy
i wbijesz je w ziemię, aż po kostki, po przeguby
poczujesz:
coś drga, coś czeka
jak ziarno pod skibą

ten, kto zapomni głos ziemi, ten zapomni siebie,
a serce bez pamięci

nie zakwitnie nigdy.

Zamglenie

w izbie po babcie jeszcze stało lustro
takie co się chowało jeszcze pod haftowanym obrusem
gdy ktoś konał, żeby dusza nie zbłądziła
i nie zabrała kogoś w odbiciu

stawiało się chleb na oknie, sól na progu
paliło świecę z gromnicy, żeby światło pamiętało drogę
a śmierć wiedziała, gdzie przystanąć

teraz patrzę w to lustro
jak w sad po żniwach
liście martwe, niebo bez rysunku
czasem przemyka cień, co ma twój profil
a może tylko moje myśli szukają kształtu

mówią, że szkoła nie ma pamięci
ale ja wiem
każdy oddech zostaje gdzieś w głębi
jak rosa na trawie, zanim wszędzie słońce

przykładam twarz do tafli
jest tylko chłód, tylko cisza
i pustka
taka, co nie boli już
tylko ciąży jak kamień pod sercem

i wiem, że kiedy upadnie
przy którejś przeprowadzce
nie oznajmi siedmiu lat nieszczęścia
ale zbierając odłamki
pokaleczę palce

i tak będę się czuł, jakbym chował cię po raz drugi
miedzy zębami zazgrzyta piach,
oczy przebiją ostre sople lustra
a oszronione serce...
będzie czekało na Gerdę, co zna drogę do ognia.

Świat nad polami

Jeszcze mgła przędzie nitki ze świtu,
a kogut rozcina ciszę jak nożem.
Zboże kłania się wiatrom –
w złotych głowach szemrze modlitwa ziemi.

Matka w chustce niesie wodę ze studni,
dziecko zbiera rosę w bose stopy.
Tak zaczyna się dzień –
z prostym oddechem natury,
która pamięta więcej niż my.

Przy żniwach

Słońce rozgrzało sierpy i dłonie,
pachnie skoszona trawa i pot.
Śpiewają kobiety –
pieśnią z dziadów, co bronili ziarna
przed burzą i czasem.

Kłos w dłoni jak obietnica chleba,
ziemia cicho dziękuje w korzeniach.
W żniwnych snopach
zawinięta jest pamięć –
o tych, co siali, by inni żyli.

Wieczór przy ognisku

W polu zgasły już cienie,
a na niebie – pasma gwiazd jak sieci rybaka.
Przy ognisku milkną rozmowy,
tylko świerszcz liczy czas w suchych trawach.

Stary dziadek splata opowieści
o wilkach, co strzegą lasu,
o duchach, co tańczą w zbożu.
Dzieci słuchają –
i wiedzą, że tu jest ich dom.

Smak wakacji

Wakacje mają smak słonecznika. Dziadek Popiel sprzedaje słonecznik. Kieliszek – pięć groszy, literatka – dziesięć, musztardówka – piętnaście. Na dłoni zawija tubę z wczorajszych wiadomości i wsypuje do niej czarne ziarna.

Siadam pod lipą. Zjadam powolnie sekundy ukryte w czarnych łupinach. Oleisty smak oblepia zęby. Tylko czerwono-czarne autobusiki kursują po korze i nogach nieświadome tego, że to czas wakacji.

Najpierw odszedł dziadek Popiel. Potem zbutwiały jutowe worki. Potłukły się kieliszek, literatka i musztardówka. Po lipie została rana metrowej średnicy. Nikt nie rozumie dlaczego stoję tam i płaczę. Nikt nie wie, że odebrano mi czas.

Czas wakacji.

Zapach wakacji

Wakacje pachną dziką różą. Na rozstaju dróg rośnie wielki krzak. W jego wnętrzu jest mój domek.

Stołki – drewniane pniaki, stolik – deska wyniesiona z tatowej drewnutni, na nim lniana serwetka i bukiet bławatków w szklanym flakoniku. Okna i drzwi są zawsze otwarte.

Gości częstuję gołąbkami z liści łopianu i czereśniowym kompotem. Potem rozmowy filozoficzne do pierwszych gwiazd. Najpierw wycięli krzak dzikiej róży. Zmurszały pniaki i stolik. Nikt nie rozumie dlaczego stoję tam i płaczę.

Nikt nie wie, że zburzono mój dom.

Dotyk wakacji

Wakacje czuję pod stopami. W poranną rosę wybiegam z domu. Ciepły oddech ziemi osiada wilgocią na bosych

stopach. Skaczę z kamienia na kamień. Rozgrzany pach parzy w pięty. Z ulgą zanurzam je w kałużach. Czuję jak

bicie serca równa się z pulsem ziemi. Cała jestem czuciem. Najpierw kamienistą drogę przykryli asfaltem. Potem

kazali założyć buty. Nikt nie rozumie dlaczego stoję tam i płaczę. Nikt nie wie, że

moje serce przestaje bić.

Słowa z ziemi

pamięci Pauliny Hołyszowej

uczyła, że strofy są jak kartofle
kopie się je z ziemi, obmywa w studni
a potem obiera nożem – powoli
żeby nie zostały żadne oczka.

„prosta chłopka” – tak o sobie pisała
ale ręce miała na prawdzie uczone
wśród zbóż, kwiatów, ziół gościnności
poznała czas dojrzewania emocji.

wiosną zbierała koniczyny i skowronki
jesienią skłębiała mgły nad stawem
zimą kruszyła szron przez palce
dzieliła ciepło na bezstronne porcje.

latem szła przez wioski z zeszytami
w koszu, między jajkami i masłem
czytała gospodarzom przy kolacji
wersy, które zebrała między zagonami.

gdy pytali, gdzie znalazła swoje piosenki
pokazywała okno w swojej chacie –
tam, gdzie wierzba rozmawia z wiatrem
i tam, gdzie studnia przygląda się niebu.

teraz jej imię noszą ulice i konkursy
gości na dyplomach i nagrodach
choć dawniej pewnie wołałaby
z nami zostać w prostych słowach.

wołałaby nauczyć nas obierać kartofle
powoli – żeby nie zostały żadne oczka
i żeby wraz z łupinami odsłaniać
swoje kawałki prawdy o ziemi.

Sierpniowe domino

przed świtem budzą się koguty
a potem ręce – jedno po drugim
toczą sierpniowe domino

już kośnicy naostrzyli kosy
już w kuchni wrze woda na herbatę
gorzka jak pot zlepiający włosy

już na polach żyto stoi w szeregach
czeka na sygnał, żeby się pokłócić
gdy iskier w niebo wzlecą pszczoły

już babka wiąże chustkę pod szyją
bierze termos i kawałek chleba
by szukać swojego skrawka roli

za stodołą, przy młynie, koła krzyża
każdy kłos pamięta, czyje dłonie
go siały, gdy ziemia była goła

a gdy słońce już wstanie w zenicie
gdy sierpy zaśpiewają w złoceniu
żniwne listy wspólnie spisujemy

wspomnimy, o czym marzyć zimą
czego bać się podczas majowej suszy
i za co dziękować w jesienne wieczory

wiatr waży serca i obsiewa zagony
bo ile z siebie w letnim dominie damy
tyle spokoju tchnie w nasze domy.

Powroty

w dawno opuszczonej stodole
słońce śpiewa przez szczeliny desek
strumienie ciepła stają w kanonach
tańcząc z drobinkami kurzu.

a ja wciąż pamiętam tamte zapachy
gdy babcia układała pokłady siana
pościel dla koni wracających z pola
ze zwisającymi językami.

teraz tylko pająki przędą tu sieci
w kącie zaś leżą sznury po snopkach
wiązanych palcami – po omacku
umiały odróżnić żyto od pszenicy.

słońce wprasza się tu codziennie
opromieniając drogę powrotu
po grabie z wyłamanymi zębami
po rdzawy sierp złamany na progu.

w świetlistych słupach śledzę cienie
dziadek cepuje zboże na klepisku
dzieci biegają między belami słomy
a kot pilnuje myszy – by nie uciekły.

może kiedyś ktoś odkurzy te narzędzia
może wnukowie wrócą po żniwach
może stodołę znów wypełnią głosy
może słońce zaśpiewa radośniej.